Korespondencja własna z Wenecji

MIĘDZY MORZEM i NIEBEM

118 wysp, 160 kanałów, 400 mostów. Plac Św. Marka, Pałac Dożów, Gondole. Centrum turystyki światowej, wspaniała skarbnica zabytków i dzieł sztuki. — Wenecja! Będę tam za 30 minut.

C. d. na str. 4–5

Świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

NR 69 (2269) | WTOREK 28 sierpnia 1973 r. | CENA 50 GROSZY

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 WARSZAWA

Bohaterowie naszych drużyn

DZIULA

Miała na imię **Wanda**, ale wszyscy ją nazywali od dzieciństwa Dziulą. Ojciec nazywał ją także „czarną myszką", bo była zawsze cichutka, zamknięta, zamyślona. Miała ciemne, łagodne, nieco skośnie wykrojone oczy, ciemne włosy, ładne białe zęby, które chętnie ukazywała w pogodnym, życzliwym dla ludzi uśmiechu...

Latem 1943 roku wtargnęło do mieszkania Dziuli gestapo: **— Wanda Zieleńczyk, kolporterka PPR, Koszykowa 53.**

Agent nie pomylił się. Przyjęła ich spokojnie. Nie śmierci się bała, przecież. Żal jej tylko serce ściskał, że aresztowali wraz z nią rodziców i najstarszą siostrę.

Trzymali Dziulę gestapowcy w słynnej katowni przy alei Szucha przez dziesięć dni. Dziesięć dni nieustannych badań i bicia. Chcieli złamać ją nie tylko torturami, ale i psychicznie — kusili obietnicami, że jeśli powie wszystko co wie o organizacji, uratuje swoją rodzinę i odzyska wolność. Dziula jednak milczała. Z jej ust nie usłyszeli gestapowcy nic prócz jęku, gdy zadawany ból przekraczał granice wytrzymałości.

W miesiąc po aresztowaniu zdecydowali, że i tak nic od niej nie wydobędą.

Rankiem 28 sierpnia wyprowadzono Dziulę z więziennej celi Pawiaka w ruiny getta. Żal było umierać, żal było zostawiać ten świat, na którym tyle rzeczy czekało jeszcze na jej chętną do działania dłoń. Ale dobrze było pomyśleć, że nie umiera się nadaremnie, że życie było coś warte i śmierć godna życia.

C. d. na str. 3

„BONANZA" z Przasnysza

Mało kto domyśla się, iż jednym z największych na naszym kontynencie producentów domów i osiedli, utrzymanych w stylu amerykańskiego „Dzikiego Zachodu" jest spółdzielnia Pracy Nakładczej w Przasnyszu w woj. warszawskim. Wśród wytwarzanych tu zabawek poważną część stanowią wykonane przez chałupników-stolarzy miniaturowe domki i całe ich zespoły — eksportowane z powodzeniem na rynki zachodnio-europejskie. Spółdzielnia zatrudnia 385 chałupników, głównie kobiety oraz ponad 90 stałych pracowników. Spółdzielcy z Przasnysza planują w roku bieżącym dostarczyć na rynek krajowy i na eksport wyroby, przede wszystkim zabawki o łącznej wartości około 22 milionów złotych.

Na zdjęciu: kierownik działu stolarki Jan Macieszak przegląda miniaturowe modele domów w stylu „dzikiego zachodu" — wyrabiane w Przasnyszu pod nazwą „bonanza".

CAF

DR MED. WŁADYSŁAW SZCZYGIEŁ, od 9 lat pracuje jako lekarz w Republice Nigru. Oprócz niego jest tam jeszcze kilku Polaków innych specjalności. Dzięki inicjatywie dr Szczygła, w Olkuszu (woj. krakowskie) zgromadzono pokaźny zbiór sztuki ludowej Afryki, liczący przeszło 600 eksponatów. Prezentują one różne dziedziny rękodzieła, jak przedmioty kultu, zdobione wyroby użytkowe, tkaniny, rzeźby w drewnie i metalu. Zbiory te stanowią dar dr Szczygła i innych Polaków z Afryki. Obecnie trwają w Olkuszu prace nad przygotowaniem pomieszczenia, w którym owe eksponaty zostaną udostępnione zwiedzającym.

Na zdjęciu — od prawej dr W. Szczygiel mgr Mieczysław Karwiński i Józef Pietrzyk prezentują jeden z eksponatów — 8-metrową skórę węża pytona. Foto — CAF

PYTON w Olkuszu

Nowy rok szkolny za pasem. Za kilka dni zabrzmi pierwszy dzwonek, za kilka dni odbędą się pierwsze lekcje, później pierwsze klasówki, a potem już normalnie, tak jak co roku, co tydzień od poniedziałku do soboty po kilka godzin dziennie będziecie spędzali w murach szkoły.

Jesteście pewnie ciekawi, czy te przyszłe szkolne dni będą zupełnie takie same jak te dotychczasowe, macie pewnie nadzieję, że coś się może w życiu szkolnym zmieni, interesuje was zapewne Co NOWEGO NIESIE NOWY ROK SZKOLNY?

Co nowego niesie NOWY ROK SZKOLNY?

NIE WYSTARCZY SIEDZIEĆ CICHO

Stopnie ze sprawowania często różniły się od tych pozostałych. Były inne. Zwykle na czele słabiutkich trójek świeciła z tego przedmiotu jedna jedyna piątka, a nierzadko się zdarzało, że rząd samych bardzo dobrych był ozdobiony czwórą a nawet tróją ze sprawowania. Wiadomo, piątki mieli ci grzeczni, nieśmiali, potulni, a jak ktoś był bardziej żywy i humor mu dopisywał to z tym sprawowaniem był na bakier.

W tym roku nie wystarczy już siedzieć cicho, aby bez żadnego wysiłku zarobić piątkę ze sprawowania i odwrotnie — ociupinę głośniejszy charakter nie oznacza z miejsca dyskryminacji i pozycji najgorszego. Oczywiście nie znaczy to, że można będzie bezkarnie hałasować w czasie lekcji i rozrabiać — wiadomo że takie zachowanie jest niegodne ucznia kulturalnego, a ponieważ wszyscy uczniowie są kulturalni więc mieć miejsca nie będzie.

Ocena ze sprawowania będzie, począwszy od 1 września br., tzw. oceną rozszerzoną. Jej skala będzie się składała nie z czterech punktów jak z innych przedmiotów, ale z pięciu.

A więc sprawowanie może być: **wzorowe, wyróżniające, dobre, odpowiednie i nieodpowiednie.** Stwarza to oczywiście możliwość bardziej rzetelnej oceny, bardziej odpowiadającej rzeczywistej sytuacji. W wystawianiu tej oceny nauczyciel-wychowawca klasy będzie brał pod uwagę trzy wartości charakteryzujące każdego ucznia: jego **stosunek do obowiązków szkolnych**, jego **aktywność społeczną** i jego **kulturę osobistą.** Ocena będzie oczywiście jedna, stanowiąca wypadkową tych trzech spraw.

A więc potulny i niemrawy leń nie może już liczyć na stopień najwyższy, bo niewłaściwy stosunek do obowiązków szkolnych i zerowa aktywność społeczna znacznie mu go zaniżą. Z kolei dobry, mający wiele zainteresowań uczeń, który aktywnie pracuje społecznie np. w świetlicy szkolnej pomagając młodszym kolegom w nauce, zbierze za te sprawy tak wysoką notę, że niższy stopień za np. większą hałaśliwość nie zmniejszy mu tej ogólnej oceny ze sprawowania do poziomu najniższego.

Tak będzie bardziej sprawiedliwie a grzeczne milczki muszą się pożegnać ze swoją dotychczasową „premią".

NIE TYLKO GŁOWĄ, ALE I RĘKAMI

POCZĄWSZY OD 1 WRZEŚNIA BR. we wszystkich szkołach na terenie całego kraju zostaje wprowadzony obowiązek wykonywania przez uczniów pracy społeczno-użytecznej w rocznym wymiarze godzin równym tygodniowemu wymiarowi godzin lekcyjnych w poszczególnych klasach. A więc np. drugoklasiści, którzy mają w tygodniu lekcji 20, będą musieli odpracować w ciągu roku każdy po 20 godzin, a szóstoklasiści, którzy mają tych lekcji powiedzmy 30 — 30 godzin każdy.

Proponowane formy tej pracy to:

— samoobsługa — w szkole, świetlicy, stołówce, internacie;

— upiększanie swojej klasy, szkoły;

— uczestnictwo przy budowie obiektów oświatowych, sportowych, turystycznych;

— akcja żniwna, wykopki;

— inne prace na rzecz środowiska.

Ten ostatni punkt można rozumieć bardzo szeroko i interpretować w zależności od lokalnych potrzeb. Może to być i zorganizowanie festynu gier i zabaw dla najmłodszych mieszkańców osiedla; i stała opieka nad starszą samotną osobą; i pomoc w bibliotece miejskiej przy okładaniu książek... Możliwości jest bardzo wiele, a obowiązkowy wymiar godzin naprawdę minimalny. Jak ktoś się rozpędzi, to przez cały rok szkolny ani się obejrzy a przepracuje ich wielokrotnie więcej. Bo obowiązkiem ucznia jest ruszać nie tylko głową ale i rękami.

Uwaga! Obowiązek tej pracy nie dotyczy dzieci rolników i uczniów szkół budowlanych, nie jest jednak zabroniony.

Opracowała:
EWA KŁOSIEWICZ

ZE SKOKU W DAL BARDZO DOBRZE

Są już wydrukowane nowe blankiety świadectw szkolnych, na których oprócz stopni z normalnych przedmiotów przewidzianych programem każdej klasy będą wpisywane indywidualne osiągnięcia ucznia w dziedzinach można powiedzieć, pozaszkolnych.

A więc: zwycięstwa i miejsca w finale olimpiad przedmiotowych wszystkich szczebli, najlepsze wyniki w olimpiadach i zawodach sportowych, pełnione funkcje społeczne na terenie swojej macierzystej szkoły i poza jej terenem, wszystkie odznaczenia i wyróżnienia.

Rada Pedagogiczna każdej szkoły ma obowiązek odnotowywania tych osiągnięć na świadectwie każdego ucznia, każde świadectwo będzie miało na to specjalne miejsce, wyobraźcie więc sobie jak to będzie „łyso" gdy takie miejsce zostanie zupełnie puste... Warto więc od pierwszego września zabrać się nie tylko do matematyki, prawda?!

NASZA SZKOŁA, JEDNA JEDYNA

Od początku tego roku szkolnego wchodzi w życie tzw. ceremoniał szkolny. Ci z was, którzy są harcerzami, byli na obozie, domyślają się już o co chodzi. Wiadomo np., że przyrzeczenia są organizowane bardzo uroczyście, że dzień obozowy zaczyna się wciągnięciem flagi na maszt a kończy jej ściągnięciem, że sztandarowi drużyny oddaje się należną cześć, że tradycyjnie już wieczorem odbywa się nastrojowe ognisko, że wita się nowych harcerzy, żegna tych, którzy odchodzą z drużyny, że każdy zastęp ma proporczyk i własną piosenkę. Jest to ceremoniał drużyny, o którym wie każdy harcerz.

W szkole był dotychczas dzwonek, zaczynała się lekcja, czasami jakaś akademia mniej lub bardziej nudna, w niektórych sztandar szkolny gdzieś w gabinecie dyrektora...

Ceremoniał szkolny to nic innego tylko trochę przepisów ogólnych dotyczących urządzania ważniejszych uroczystości takich jak: powitanie pierwszoklasistów, pożegnanie ośmioklasistów, dzień patrona szkoły, dzień nauczyciela, święta narodowe, rozpoczynanie tygodnia pracy szkolnej, rozpoczynanie każdej lekcji. Gdy przepisy te wejdą w życie, gdy zaczną być w praktyce stosowane i gdy każda szkoła doda do nich coś własnego, charakterystycznego tylko dla niej — przestaną być martwymi przepisami a staną się tradycją szkolną, czymś własnym, podniosłym, niepowtarzalnym. Będzie i hymn szkoły, i piosenka każdej klasy i zwyczaje, które sprawią, że każda szkoła będzie jedna, jedyna, inna niż inne.

PAUZA REKREACYJNA

NIE JEST TO ŻADNA NOWOŚĆ i właściwie nie powinno być w tym miejscu mowy na ten temat, gdyby nie to, że, jak sami wiecie, w ubiegłym roku pauzy te nie zawsze i nie wszędzie wypaliły.

I chyba, trzeba sobie szczerze powiedzieć, jest w tym sporo waszej własnej winy. Trochę braku organizacji ze strony drużyn harcerskich, samorządów, SKS-ów i trochę wrodzonego lenistwa. Bo nierzadki był widok, że w wielkiej szkole, w czasie półgodzinnej przerwy, bawiło się na boisku 40 osób, a 340 snuło się po korytarzach lub wykorzystywało czas na odpisywanie zadań domowych z matematyki.

Sądzimy, że w tym roku sytuacja się zmieni — drużyny harcerskie, samorządy, członkowie SKS-ów przygotują, nie wymagające przecież „filozofii", programy gier i zabaw ruchowych, a pozostali uczniowie nawet jeśli nie wciągną się do tych zadań organizatorskich, to przynajmniej będą uczestniczyli w tym, co zostanie przygotowane.

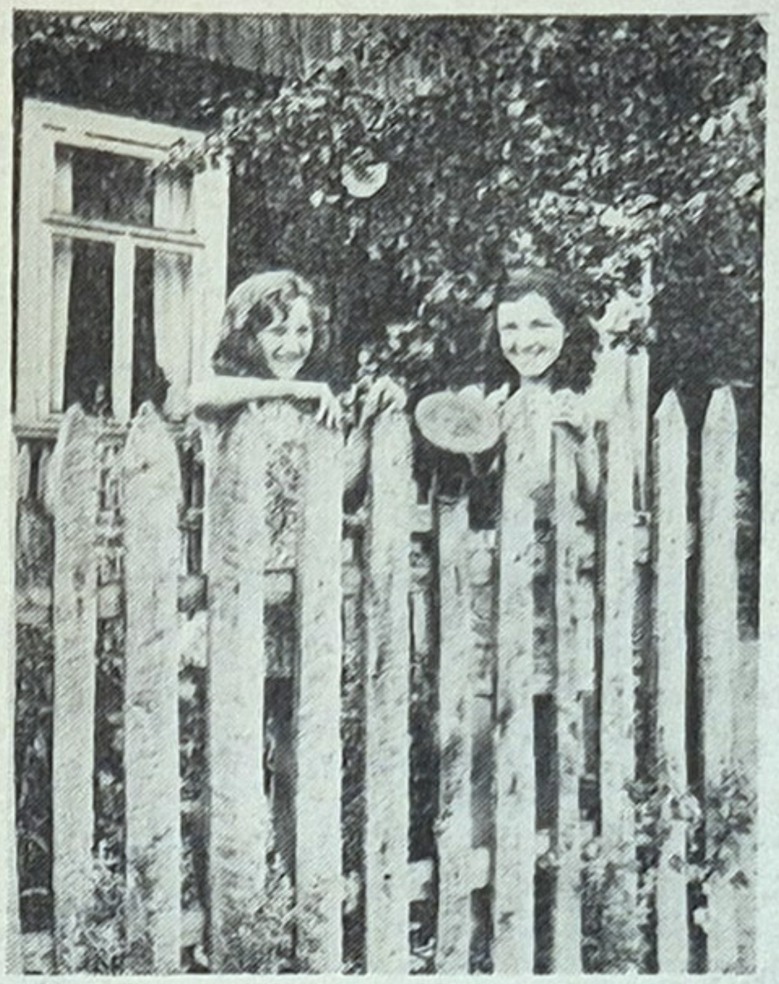

NIEDZIELA

GRUZY LEŻĄ DALEKO. Od asfaltowej szosy łączącej Sokołów Podlaski z Drohiczynem jedzie się kilkanaście kilometrów po „kocich łbach" do Grannego, a stąmtąd jeszcze 2 kilometry piaszczystą drogą poprzez las. Za to położenie mają piękne — z porośniętego sosnami wzgórza widać wijący się przez zielone łąki jasnogranatowy Bug. Nie jest to wieś duża. kilka domów, niecała setka mieszkańców. Wśród nich oczywiście i dzieci. Spotkaliśmy się z Alą Bojar i Anią Pietranik; obie zdały do VIII klasy szkoły podstawowej w niedalekim Perlejewie.

Jest niedziela. Letnia niedziela; duszno i parno. Dzień świąteczny. Ala z Anią oparły się o płot i rozmawiają o tym, jak ten dzień spędzić. Może do lasu (podobno pokazały się pierwsze grzyby), może nad wodę?... To zastanawianie się przerywają im różne domowe czynności — a to kurom trzeba dać jeść, a to wodę ze studni wyciągnąć, a to kwiaty w ogródku podlać, a to pozamiatać dookoła obejścia, a to koń rży w stajni, więc... Ala biegnie do swego ulubieńca ze smakołykiem — zieloną gałązką...

Czy pójdą w końcu nad wodę lub do lasu?! Pewnie tak, ale dopiero po robocie. Niedziela nie różni się tu od innego dnia. Dzień świąteczny? Tak! Ale tylko dla mieszczuchów. (ek)

Foto: EWA KLOSIEWICZ

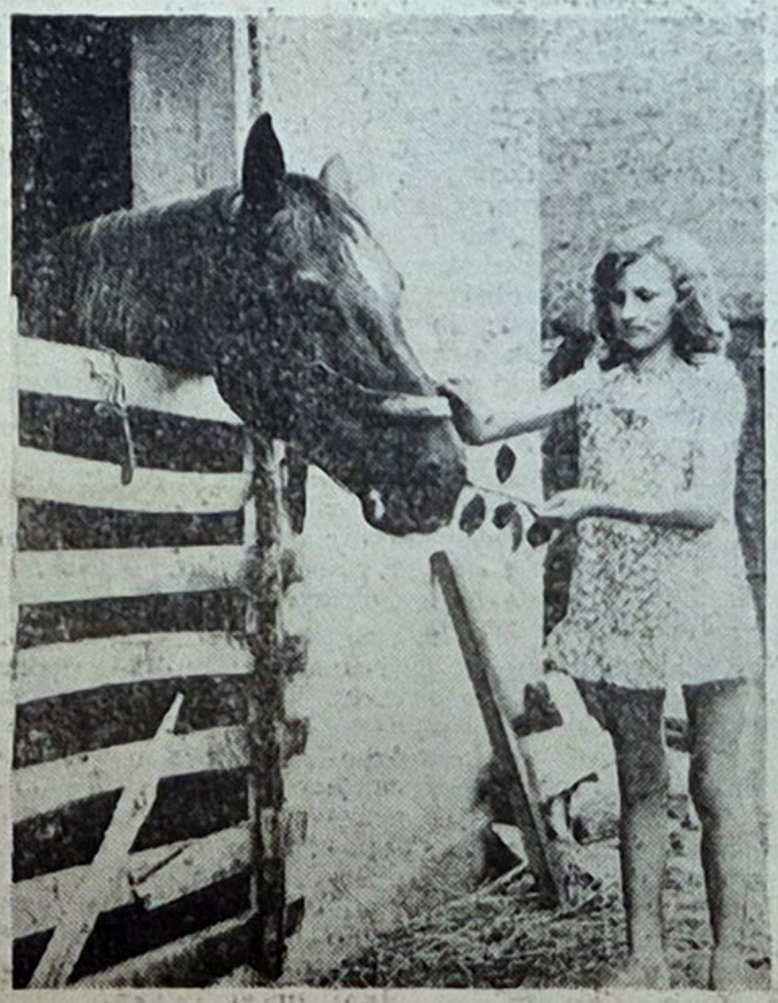

Bohaterowie naszych drużyn

C. d. ze str. 1

Więc zarepetuj broń

Przecięła hitelerowska kula młode życie Dziuli. Ale brzmiały już wówczas w oddziałach Gwardii Ludowej ułożone przez Dziulę pieśni mobilizujące partyzantów do walki ze znienawidzonym wrogiem.

Więc zarepetuj broń
I w serce wroga mierz.
Dudni nasz krok
Milionów krok
Brzmi partyzancki śpiew.

Siła poetycka „Marsza Gwardii Ludowej" oparła się czasowi. Pieśń przetrwała żywa do naszych dni jako dokument walki młodego pokolenia Polaków z hitlerowskim okupantem.

Pod ciśnieniem uczuć i okupacyjnych wydarzeń powstały także inne pieśni i wiersze Dziuli, drukowane w konspiracyjnej „Walce Młodych".

Wanda Zieleńczyk, dziś bohaterka wielu drużyn harcerskich, zasłynęła nie tylko z układanych przez siebie pieśni i wierszy. Była ona także jedną z najpopularniejszych w tajnych kołach ZWM instruktorek.

Dziula chodziła na zebrania kół Związku Walki Młodych — na Wolę, Koło i Powązki, Żoliborz i Grochów. Opowiadała młodzieży o Pierwszym Proletariacie i Ludwiku Waryńskim, śpiewała „Mazura Kajdaniarskiego" i uczyła „Warszawianki". Była przez młodzież ogromnie lubiana, umiała ją porwać, przekonać, zagrzać do działania. A nade wszystko służyć jej własnym przykładem.

Od wiosny 1942 roku do chwili aresztowania była Dziula kierowniczką świetlicy młodzieżowej na Rakowcu i zajęciu temu oddawała się ze szczególnym zamiłowaniem i poświęceniem. Młodzież, w dużej mierze niesforna, chętnie gromadziła się w świetlicy. Niewiele jednak upłynęło czasu, a Dziula zdobyła sobie tych rozbisurmanionych chłopaków humorem i dowcipem, wierszem i piosenką. Po paru miesiącach, pięciu z nich poszło w lasy kieleckie do partyzantki Gwardii Ludowej. Poszedł Lech, Stasiek, Gutek, Mietek i najmłodszy — 15-letni Ceniek Orłowski. Chłopcy z robotniczych bloków Rakowca. Dziula była z nich bardzo dumna. Przecież to także i jej zasługa...

W akcjach na ulicach miasta

Dziula brała również sama udział w akcjach. Wielokrotnie uczestniczyła w kolportażu tajnej prasy. To jej pomysłem było rzucanie gazet na peron z okien pociągu odjeżdżającego z Dworca Głównego. Były to niebezpieczne „wycieczki", ale za to pisma docierały daleko poza Warszawę.

Inną formą działalności było pisanie haseł na murach, chodnikach ulicznych, drukowanie i nalepianie napisów antyhitlerowskich, przypominających społeczeństwu i okupantom, że walka została podjęta i trwa, że Polacy nie dadzą się złamać represjami.

Dziula lubiła chodzić na akcje. Na prośby i upomnienia towarzyszy, że się naraża — odpowiadała zwyczajnie: **„Cóż to byłby ze mnie za ZWM-owiec, gdybym nie uczestniczyła w akcjach"** — i szła dalej ze swoją młodzieżą rakowiecką. Przemykała wieczorami koło domów, przystanków tramwajowych, wystaw, zostawiając na nich nalepione odezwy i ulotki, oraz hasła „Śmierć okupantom", „W walce ratunek — w bierności zagłada", itp.

DZIULA

Innym razem rozsypywali na szosach pod Warszawą tzw. czworonóżki, czyli specjalnie wygięte i zaostrzone kolce z drutu, które dziurawiły opony niemieckich ciężarówek.

Wiosną 1943 roku, gdy zaczęła wychodzić „Walka Młodych, ZWM-owcy rozpoczęli niemal jawny, uliczny kolportaż swego pisma. Dziula rozdawała wraz z Janką Balcerzak „Walkę Młodych" przed szkołami, gdy z nich wychodzili uczniowie. Pismo było rozchwytywane. Kilka kroków za kolporterkami szli chłopcy z obstawy z rękami w kieszeniach, z palcami na spustach pistoletów.

Nie kończyła się jednak na tym działalność Dziuli. Jej energia była niewyczerpana. Zawsze była gotowa gdzieś biec, coś pomóc, załatwić. Znana była z tego w organizacji. Podjęła się więc przepisywania na maszynie komunikatów radiowych z frontu. Kosztowało ją to niemało trudów i wysiłków, gdyż słabo pisała na maszynie. W mieszkaniu, gdzie pracowała był mróz na ścianach. Dziula siedziała w palcie. Po jakimś czasie nauczyła się nieźle pisać na maszynie. Umiała też powielać i zawsze chętnie zastępowała towarzyszy w tej pracy.

Oprócz tego wszystkiego Dziula, jak już wiecie, układała wiersze i piosenki. Każdy z was zna popularny od lat „Marsz Gwardii Ludowej — „My ze spalonych wsi". Nie każdy jednak wie, że jej autorka, Wanda Zieleńczyk „Dziula", miała zaledwie 23 lata, gdy hitlerowska kula przerwała jej piękne życie. Stało się to równo trzydzieści lat temu, 28 sierpnia 1943 roku.

JERZY KASPRZAK
Rys. M. Kościelniak

WAKACYJNY TURNIEJ PATROLI–73

„SALON MODY"

Dzień odwiedzin został wyznaczony na niedzielę. W tym dniu nasi rodzice mają wolny czas i zawitali do naszej bazy. Nastrój był wesoły, najbardziej podobał się „Salon mody". Zabawa polegała na tym, że walczyły ze sobą o palmę pierwszeństwa w elegancji dwie drużyny. Drużyna mam i drużyna tatusiów. Wśród śmiechu i gwaru każda mama ubierała drugą z pomocą zwoju papieru w długą suknię, z możliwie największą ilością ozdób z roślin. Zaś tata ubierał drugiego tatusia, w garnitur. Rodzice bawili się wyśmienicie, my jeszcze więcej! Później odbyło się przyjęcie z tradycyjną grochówką gotowaną w kociołku i kule ryżowe. Zaproszenia przesyłaliśmy „pocztą pantoflową", wkładając je do butów gości, którzy mieli nas odwiedzić.

PATROL „ŻUBRÓW
PUSZCZYKI Z CZOSNOWA

NACZELNIK GMINY NA PRZYJĘCIU

PIRACI Z GRABIC meldują o zorganizowaniu „Ogniska Przyjaźni". Pracę naszą rozpoczęliśmy od dekoracji i urządzenia naszego stałego miejsca spotkań — bazy. Udekorowaliśmy ją tematycznie rysunkami i wycinankami z prasy, oraz przygotowaliśmy albumy:

a) „Na spotkanie z drugą Polską",

b) „Nasi przyjaciele zza Odry".

W albumie „Druga Polska" na szczególną uwagę zasługuje dział: „Przyszłość Grabic" i „Ludzie dobrej roboty z Grabic".

Na uroczystość przybyli rodzice, naczelnik gminy, sekretarz KP PZPR, radna. Goście zwiedzili przystań piracką, następnie naczelnik gminy rozpalił ognisko. Gawędziliśmy o Festiwalu Młodzieży w Berlinie, a harcerze, którzy powrócili z obozu w NRD opowiadali nam o przyjaciołach zza Odry. Na zakończenie przyjęliśmy gości kiełbaską z rożna i chlebem.

„Piraci z Grabic" w upalne dni dostarczali żniwiarzom napojów chłodzących, stawiali snopki, a na stanicy w Drzeniowie pomagali samotnemu gospodarzowi zwieźć snopy z pola.

ŻUBRY PÓŁNOCY
PIRACI Z GRABIĆ

ZAMIAST ZŁOTEGO RUNA

DO NAJBLIŻSZEGO LASU mamy ponad 5 km, nasza gromada „Jarzębinek" składa się z maluchów, którzy nie mogą przejść tak dalekiej drogi. Patrolowcy zarządzili więc zbiórkę makulatury i uzyskane pieniądze (zł 50) przekazali na: Harcerski Fundusz Wychowawczy. Dowód wpłaty mamy w kronice.

ORŁY POŁUDNIA
„JARZĘBINKI" CHMIELÓW

AKCJA „ŻNIWNA" SKOŃCZONA

ŻUBRY Z STOROŻYŃC meldują zakończenie akcji „Żniwa". Zastęp „Różyczki" pomagał ludziom starszym w żniwach oraz w zwózce zboża z pól. Wieczorami urządzamy akcję „Niewidzialnej ręki". Pomagamy m. in. w sprzątaniu obiektów gospodarczych, a ludziom starszym w przygotowywaniu opału na zimę. Wolne chwile spędzamy w lesie zbierając grzyby i jagody. Każdą chwilę mamy zapełnioną, bo nawet w niedzielę gramy w piłkę, urządzamy podchody lub inne zabawy.

DOWÓDCA ŻUBRÓW
STANISŁAWA KRZYWICKA
STOROŻYNCE

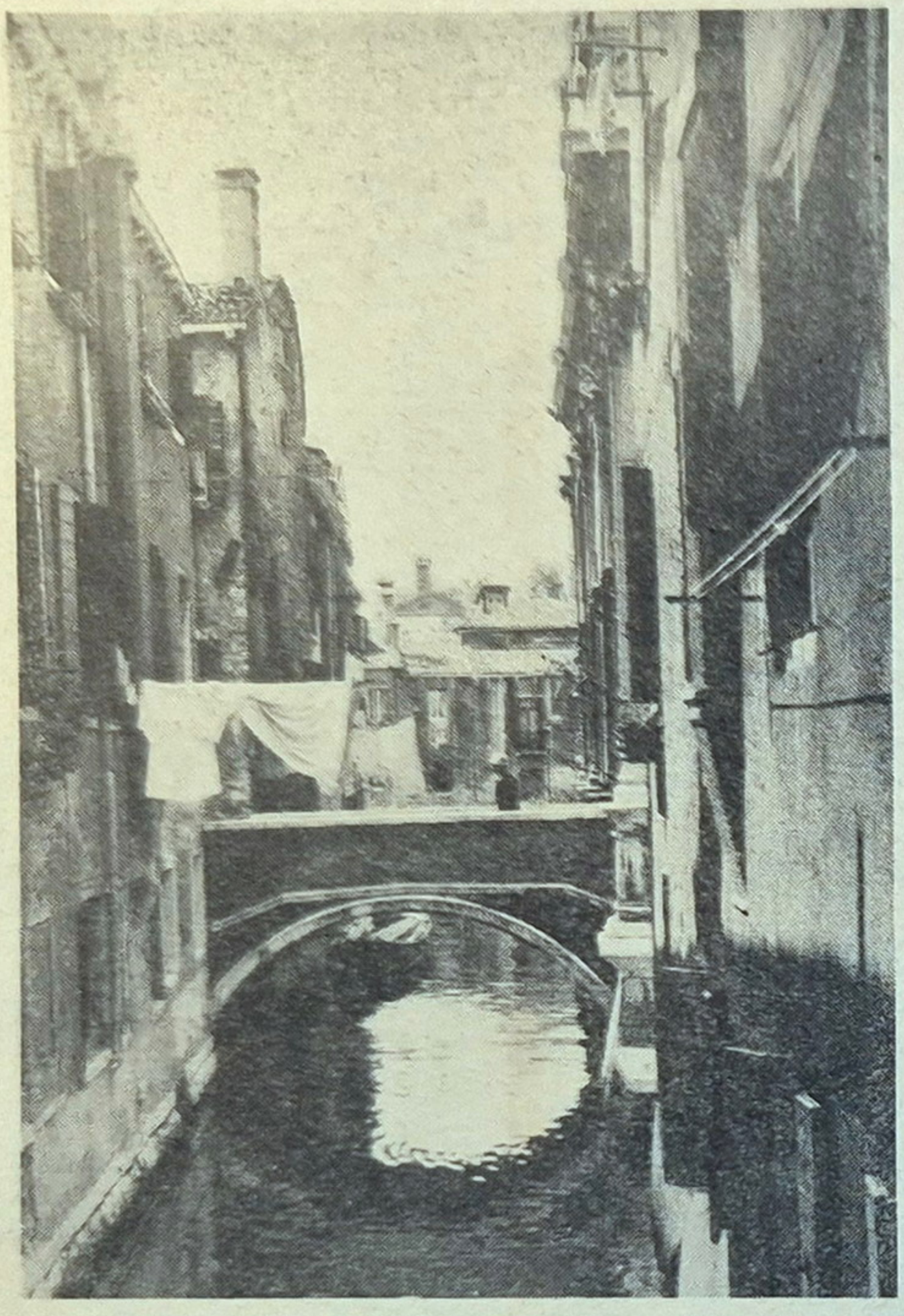

Cichy malowniczy zaułek „ozdobiony" suszącą się bielizną. Z bliska widać, że woda w kanale jest brudna, a tynki murów odpadają... Wenecja nie może dłużej czekać na ratunek!

C. D. ze str. 1

Czy pociąg dojedzie przed zapadnięciem zupełnych ciemności?

Chciałabym zdążyć ustalić, jak bardzo przesadził w koloryzowaniu autor przewodnika po Italii, który o celu mojej dzisiejszej podróży górnolotnie napisał: *„Fascynujące miasto między morzem i niebem! Jak wynurzająca się z fal Wenus, wita Wenecja przybyszów z 5 kontynentów przyciągniętych wdziękiem jej wody i przezroczystością wolnego od wszelkich zanieczyszczeń powietrza".*

Bajka w nocy

Minęła 21.00. Za oknami tylko ciemny granat i światła oddalającego się lądu stałego. Jesteśmy więc na Ponte della Liberta. Tak nazywa się zbudowana w 1933 r. dla linii kolejowej i autostrady blisko 4 km długości grobla — droga do lagunowego miasta.

Po kilku minutach dworzec. Nowoczesny, z wielką lśniąca poczekalnią. Ledwie przekroczyłam jej progi, słyszę usłużne:

— Taxi? Taxi, signora?

— No, grazie — odpowiadam machinalnie nie zważając, że samochodu ani widu ani słychu. Ciągnie mnie wprost do wody. Jaki tam ruch!

— Hallo! Taxi? — woła z kanału mężczyzna, którego żywa gestykulacja pozwala mi zrozumieć, że „taxi" to właśnie ta przycumowana do brzegu motorówka.

O parę metrów od niej unosi się na falach drewniana, otoczona balustradą platforma. To przystanek... tramwajowy. Tramwajami są tzw. *vaporetti* — czyli stateczki motorowe. Już kilka przypłynęło i odpłynęło w obu kierunkach. Z biletem w ręku siedzę i czekam na moją linię. Jest wreszcie. Dzwonek, odbijamy.

Od razu można się zorientować, którzy pasażerowie są mieszkańcami Wenecji albo przebywają w niej dłużej, a którzy dopiero co tu przyjechali. Pierwsi schodzą do oszklonej kabiny i przeważnie czytają gazety, a drudzy... O, ci z wyrazem cielęcego zachwytu na twarzach sterczą na pomoście i kręcą głowami raz w lewo raz w prawo. Ja razem z nimi — ma się rozumieć. Co tu dużo gadać, widoki są tak przepiękne, że aż dech zapiera! Rzęsiście oświetlone, wynurzające się wprost ze szmaragdowej wody szeregi pałaców, kościołów i domów mieszkalnych. Bajecznie kolorowe lampiony kawiarenek, łukowate mosty, no i te osławione gondole pełne turystów (głównie leciwych i zamożnych Amerykanów) śpiewających do wtóru harmoniom. A stateczek przepływa ciągle z jednego na drugi brzeg kanału (tak są rozmieszczone przystanki) i buja przy tym na zakrętach tak, że aż się gwiazdy na niebie kołyszą. Chyba się uszczypnę, bo może to sen? Nie, jawa! Mam świadków.

Dramat za dnia

Rano po przebudzeniu się ze snu, tego prawdziwego, nie miałam czasu na dłuższe zastanawianie się, dlaczego podłoga w moim pokoju wykazuje tak spore odchylenie od poziomu. Czas na refleksje przyszedł po wielu godzinach, gdy porzuciwszy znane i uczęszczane gromadnie szlaki, znaczone eleganckimi sklepami, zapuściłam się w tę część Wenecji, gdzie żyje się nie

MIĘDZY

MORZEM i NIEBEM

na pokaz. Pusto tu i dziwnie cicho. Kilkumetrowej szerokości kanaliki, wąziutkie uliczki (rekord 1,5 m), małe brukowane placyki z zaplombowanymi studniami pośrodku. Między domami typowo włoska dekoracja — sznury świeżo wypranej bielizny. Ten sielankowy nastrój zakłóca wszakże widok poobrywanych okiennic, zniszczonych wilgocią tynków odpadających ze ścian, nadzwyczaj malowniczych, ale tylko z daleka, kamieniczek. Woda kanału w dziennym świetle okazuje się wyraźnie mętna. Obmywa obrośnięte glonami schodki wielu spośród zabitych na mur drzwi wejściowych. A pachnie też nieszczególnie. I dlaczego tak dużo opuszczonych, zwłaszcza na parterze, mieszkań?

— Wenecja to miejsce dla ludzi starych, lubiących spokój i ciszę, ludzi urodzonych tu jak ja — mówi mi sympatyczna pani w średnim wieku. — Młodzi uciekają stąd. Chcą mieć wygodne, nowoczesne mieszkania. Chcą korzystać z samochodów, skuterów. W ciągu ostatnich 20 lat na stały ląd wyniosło się aż 60 tys. osób. Dzieciom też tu nie najlepiej — kontynuuje. — Same kamienie, mało drzew i kwiatów. Ciasno!

Właśnie mijamy grupkę chłopców. Wyszli ze szkoły, kopią piłkę pod jednym z licznych w mieście pomników. Dalej gromada dzieciarni skacze wzdłuż rzędów przycumowanych łodzi, a obok dwaj kilkuletni malcy pływają w pontonie. Te zabawy bez nadzoru dorosłych wydają się niezbyt bezpieczne.

— Niech się pani nie obawia — słyszę. — Oni wcześnie uczą się pływać. Są przyzwyczajeni do bliskości wody tak, jak mieszkańcy innych miast do sznurów mknących samochodów na jezdni.

600 milionów dolarów za długo czeka!

Tak, samochodów tu na szczęście nie ma. Za to masowa miejska komunikacja odbywa się za pośrednictwem warczących i dymiących statków oraz łodzi motorowych. Okazało się, że powodowane przez nie wibracje niszczą wysokie fundamenty i trzymetrowe dębowe lub modrzewiowe pale, na których wzniesione są wszystkie weneckie budowle. Jakby tego było mało, spaliny w powietrzu atakują cenne marmury, zaś rozpuszczone w wodzie odpady przemysłowe dostarczane przez usytuowaną naprzeciw Wenecji Margherę najpierw pokrywają warstwą brudu kamień, z którego zbudowane są domy, a następnie wdzierają się do jego wnętrza powodując pęknięcia. Ale to jeszcze nie koniec listy śmiertelnych niebezpieczeństw.

Z precyzyjnych obliczeń specjalistów wynika, że miasto osiada 3—5 mm rocznie. O ile proces ten nie zostanie wstrzymany, poziom Placu św. Marka obniży się do 2010 roku o 1,30 cm. I tego nie dość! Właśnie kupiłam kolorową widokówkę przedstawiającą ten najpiękniejszy punkt miasta całkowicie przykryty wodą. A więc dochodzą jeszcze częste powodzie! Najgroźniejsza z nich — pamiętam — z listopada roku 1966 (wysokość fali powodziowej wynosiła 1,95 m powyżej poziomu morza) zalała Wenecję masą błota i mazutu. UNESCO wezwało wówczas opinię publiczną całego świata do podjęcia akcji ocalenia Wenecji.

Pieniądze się znalazły; jest ich już 600.000.000 dolarów. Problem w tym, jak w sensowny sposób je wydać. Bo nie wystarczy zlikwidować pobliskie ośrodki przemysłowe i wewnętrzną komunikację motorową. Nie wystarczy również jednorazowe odrestaurowanie zabytków. Aby Wenecja — ten klejnot cywilizacji i kultury europejskiej — świeciła najpiękniejszym, bo żywym, blaskiem, trzeba jej stałym mieszkańcom zapewnić stałą pracę i odpowiednie warunki bytowania. Miasto między morzem i niebem nie może istnieć jedynie dla przybyszów i fascynować tylko egzaltowanych autorów przewodników turystycznych.

TERESA DROGA-KUPCZYŃSKA

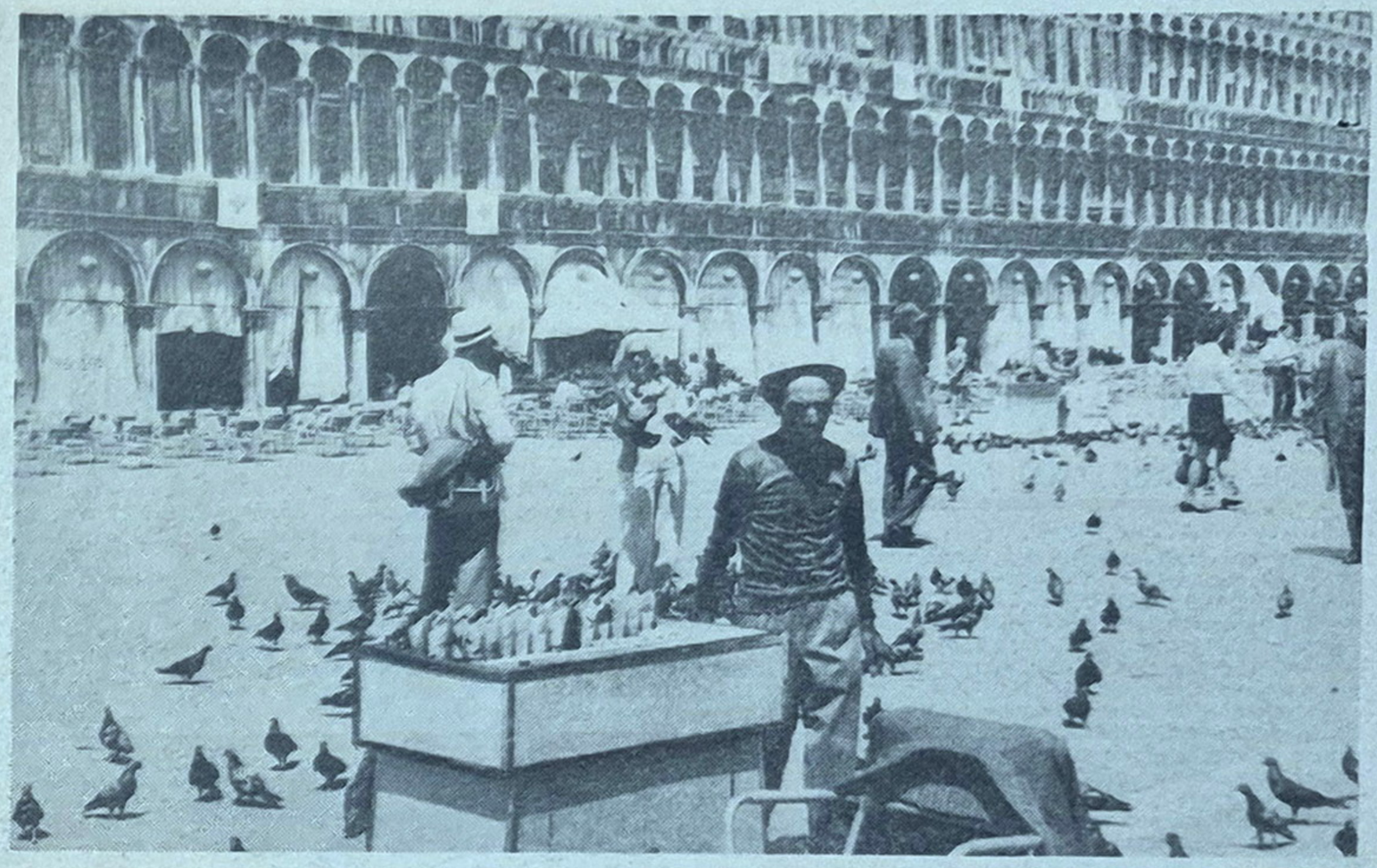

Najsłynniejszy w świecie — Plac św. Marka (wymiary 175 x 80 m) — nazywany jest ogromnym kamiennym salonem. Turyści chętnie fotografują się tu z lubiącymi jeść z ręki gołębiami.

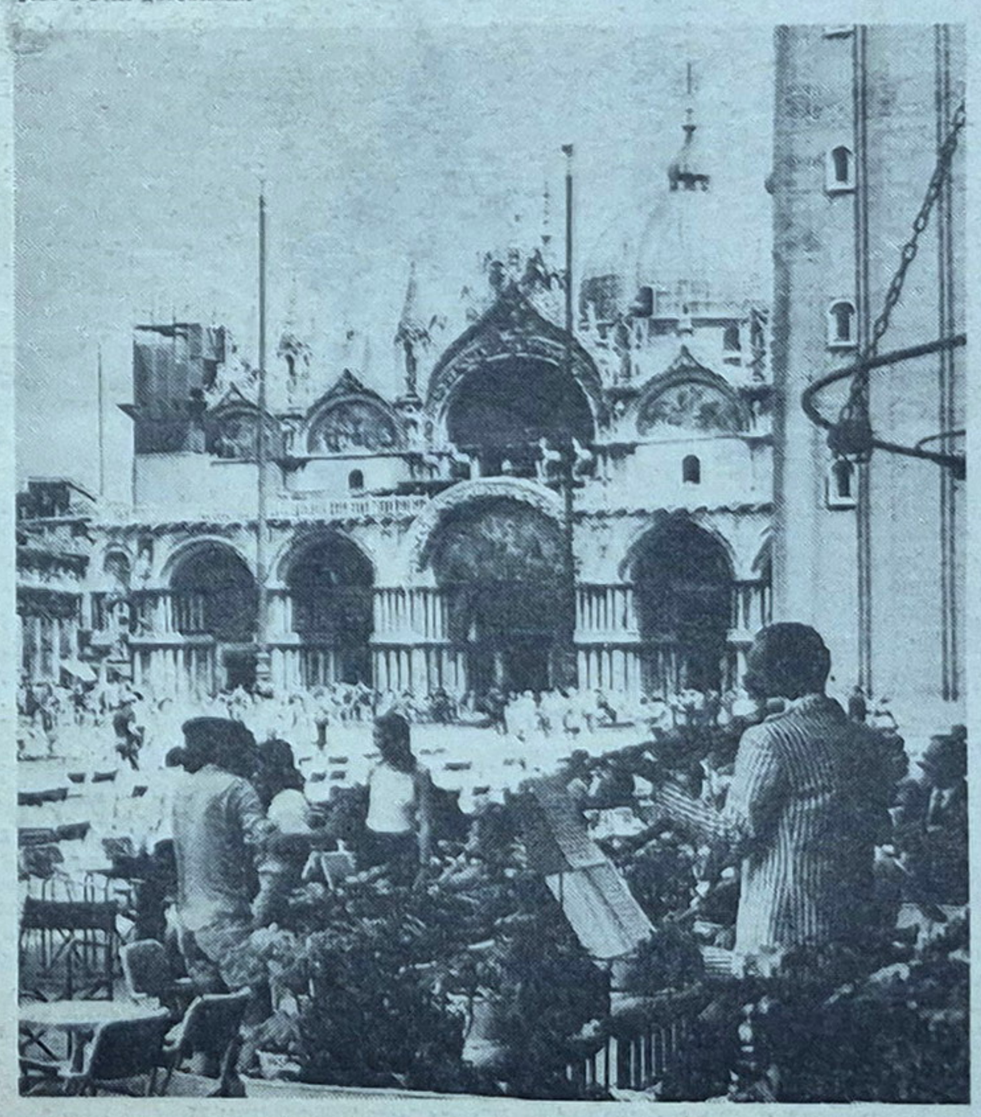

Przepysznie zdobiona złotymi mozaikami bazylika św. Marka, z 5 kopułami i przedstawiającą cztery konie rzeźbą grecką, zamyka od strony wschodniej Plac św. Marka, na którym prawie bez przerwy trwają koncerty muzyczne pod gołym niebem.

ZACZĘŁO SIĘ OD WENETÓW

ZAMIESZKAŁA DZIŚ przez 300 tys. osób WENECJA nazwę swą zawdzięcza szczepowi WENETÓW, którzy zasiedlali obszar między Alpami i Adriatykiem. Gdy w roku 453 wódz Hunów Attyla zburzył Aquileję i Padwę, wielu mieszkańców lądu stałego szukało schronienia na będącej pod panowaniem bizantyjskim lagunie u północnych wybrzeży Morza Adriatyckiego. Pragnienie bezpieczeństwa doprowadziło do utworzenia się tam swego rodzaju wolnego miasta, pod panowaniem księcia — doży. W roku 811 — dziesiąty doża siedziba rządu uczynił wyspę Rialto — zalążek dzisiejszej Wenecji. W roku 829 wenecjańska flota handlowa uprowadziła relikwie św. Marka z Aleksandrii. Symbol świętego — lwy — stały się teraz zwierzęciem herbowym miasta, które swoją największą świetność osiągnęło w okresie wojen krzyżowych. Podczas czwartej krucjaty w 1204 roku doża Enrico Dandolo podbił przy pomocy francuskich rycerzy krzyżowych Konstantynopol i zarządził do tytułu doży dodatek: „władca trzech ósmych cesarstwa bizantyjskiego". Rozszerzenie się potęgi Wenecji na wschód spowodowało stuletnią wojnę z jej rywalką Genuą, ostatecznie pokonaną w 1380 roku. Na przełomie XIV i XV wieku Wenecja podporządkowała sobie większość północno-wschodnich miast włoskich.

W związku z odkryciem Ameryki (1492) i drogi morskiej do Indii (1498) miasto lagunowe straciło wkrótce swoje znaczenie jako centrum handlowe. Również wojny z Turkami, przez które Wenecja do roku 1780 utraciła wszystkie swoje posiadłości, osłabiły jej potęgę. To wystarczyło, by Napoleon Bonaparte w 1797 roku zajął i doprowadził Republikę Wenecką do upadku. W roku 1815 — Wenecja przypadła Habsburgom. W 1848 — na próżno dążyła do ponownego odzyskania niepodległości i po pokoju wiedeńskim w r. 1866 została przyłączona do zjednoczonych Włoch.

MEKONI Z ARCHIPELAGU MARGUI

Poznajemy powierzchnię Księżyca, statki kosmiczne zbierają informacje o najbliższych planetach — Wenus i Marsie — a na naszej Ziemi jest jeszcze wiele wciąż nie zbadadanych miejsc. Do takich należy Archipelag Margui na Morzu Andamańskim.

Na łodziach pływających między licznymi wysepkami tego archipelagu całe swe życie spędzają dzikie plemiona Mekonów. Unikają oni spotkania z obcymi, a że potrafią dobrze maskować swe łodzie, więc nie udało się jeszcze poznać dokładnie ich życia i obyczajów.

Ich łodzie-kabangu, sięgają 10 metrów długości i stanowią dom dla całej rodziny. Mekoni żywią się głównie złowionymi rybami i małżami, a że są świetnymi nurkami, więc zbierają też perły, które wymieniają od czasu do czasu z handlarzami na noże, tkaniny i maski płetwonurków. Czasami przybijają do lądu, ale w miejscach odludnych, dla naprawienia łodzi lub zebrania dziko rosnących owoców.

W wieku maszyn matematycznych, odrzutowców i rakiet kosmicznych żyją tak, jak żyli ich przodkowie przed tysiącami lat. (jk)

DELFIN DO WSZYSTKIEGO

POWSZECHNE SĄ opinie naukowców, że delfin może być na morzu przyjacielem człowieka w nie mniejszym stopniu, niż jest nim na lądzie pies. Delfina, po odpowiednim wyszkoleniu można będzie używać jako łącznika przy różnych pracach podwodnych, jako doskonałego pomocnika oceanologów — nosiciela nadajników przekazujących informacje o zasoleniu wód, radioaktywności, temperaturze prądach morskich na różnych głębokościach, jako badacz dna morskiego, dostarczającego próbki gruntu.

Łatwo poddający się tresurze delfin może przewozić bagaże, odszukiwać w morzu zatopione przedmioty, a nawet miny, bądź zatopione okręty. Mówi się też, że może pomagać rybakom naganiać ryby w sieci, czy też wykrywać większe skupiska ryb.

ORLE PIÓRA

KRYSTYNA I ALFRED SZKLARSCY (5)

ILUSTROWAŁ JAN ROCKI

Tehawanka usiadł. Niepewnym wzrokiem rozglądał się wokoło. Nie opodal na piaszczystym wybrzeżu bieliło się kilka gołębich piór, a wśród nich jedno większe, ciemniejsze. Tehawanka podniósł się, by pozbierać znaki pozostawione przez Ducha Opiekuńczego. Najpierw z należną czcią podniósł pióro sowy. Sowy i orły były na Ziemi posłańcami Wielkiego Ducha. One to razem z orłami obserwowały ludzi i donosiły Mu, jak oni się zachowują. W ten sposób Wielki Duch dowiadywał się o wszystkich dobrych i złych uczynkach ludzi, ponieważ orły swoim wszystkowidzącym wzrokiem podpatrywały ich podczas dnia, a sowy doskonale widziały w nocy.

Nie było niczym dziwnym, że gołębie w dzień atakowały nocnego drapieżnika. Tysięczne stado wędrownych gołębi musiało podczas osiadania na odpoczynek trafić na sowę. Wszystkie dzienne ptaki nienawidzą nocnych drapieżników i gdy je napotkają, atakują na oślep, nie zważając na niebezpieczeństwo. Tak zapewne było i tym razem, jednak Tehawanka nie odróżniał snów i majaczeń od rzeczywistości. Dla niego stanowiły one jedno ciągłe pasmo rzeczywistego życia. Toteż obecnie pragnął jedynie odgadnąć, co miał oznaczać znak dany przez Ducha Opiekuńczego.

Tehawanka stał i rozmyślał wpatrując się w znalezione pióra. Gołębie prowadziły wędrowny tryb życia, czym mogły przypominać Czipewejów. Atakowały sowę. Kim mogła być sowa?

Naraz olśniła go pewna myśl. W zawiniątku ze świętymi przedmiotami ojciec jego posiadał skrzydło sowy. Czyżby więc sowa nie mogła symbolizować Dakotów osaczanych przez Czipewejów? A może sową był jego ojciec? Chyba jednak nie o ojca chodziło, gdyż poległ on w walce, a sowa umknęła gołębiom i w dodatku porwała jednego z nich.

Tehawanka spojrzał w niebo.

„To ja byłem sową. Mam umknąć z niewoli i porwać Czipeweja. Kogo mógłbym uprowadzić?" — rozmyślał.

Teraz dopiero spostrzegł, że jest sam na pustkowiu. O kilkanaście strzałów z łuku w kierunku zachodnim widać było obóz Czipewejów rozłożony nad jeziorem.

Zdumiony Tehawanka podejrzliwie spoglądał wokoło. Nie wiedział, w jaki sposób się tu znalazł. Czy nikt go nie śledził tutaj na pustkowiu, gdy rozmawiał z Duchem Opiekuńczym? Czyżby nikt nie zauważył jego wyjścia z obozu?

Rozejrzał się, ale nie spostrzegł nic podejrzanego. Tymczasem słońce już chyliło się ku zachodowi. Tehawanka szybkim krokiem począł iść ku obozowi.

Tymczasem w pewnej odległości za nim skrycie podążał Czipewej uzbrojony w broń palną.

Był to Mish'wa wak — gniewny i trawiony zazdrością. Tego właśnie ranka rozmawiał z Ah'mikiem. Rozmowa nie była przyjemna. Mem'en gwa powiedziała ojcu o wydarzeniach podczas zbierania soku klonowego. Prawdą było, że Mish'wa wak umyślnie stworzył warunki, w których jeńcy mogli spróbować ucieczki. On wszakże z ukrycia śledził ich poczynania. Czy chciał sprowokować do ucieczki i zabić? Sam nie mógł odpowiedzieć, co by uczynił. Pragnął pozbyć się Tehawanki, któremu Mem'en gwa tak bardzo sprzyjała. Może nawet pozwoliłby mu umknąć, ścigając przede wszystkim Lisów?

Ah'mik czynił mu ostre wyrzuty. Miał swoje plany wobec młodego Wehpekute, a Mish'wa wak mógł je samowolnie udaremnić. Imię Mem'en gwa nie padło ani razu podczas porannej rozmowy, choć Ah'mik domyślał się pobudek działania Mish'wa waka. Chcąc zapobiec dalszym niespodziankom, zwołał radę starszych plemienia, by zadecydowała o losie jeńców.

Mish'wa wak nie był członkiem rady starszych, wiedział jednak, jakie powzięła postanowienie. Jeśli jeńcy przystąpią do plemienia Czipewejów, będą traktowani na równi z wszystkimi. Tehawanka będzie mógł wziąć Czipewejkę za żonę. Wprawdzie matka dziewczyny sprzyjała zamysłom Mish'wa waka, ale u Indian rodzice pozostawiali swoim córkom możność wyboru męża.

Mish'wa wak obserwował wigwam, w którym jeńcy rozmawiali z radą starszych. Od razu zauważył, że Tehawanka wyszedł stamtąd w dziwnym nastroju. Gdy opuścił obóz, Mish'wa wak wziął broń i podążył za nim.

Nie spuszczał wzroku z jeńca. Szedł za nim w pewnej odległości. Wreszcie Tehawanka położył się na ziemi w skalistej niszy. Mish'wa wak przyczaił się w pobliżu i czekał. Tehawanka leżał nieruchomo, patrząc w niebo. Potem przymknął oczy.

„Czyżby zasnął? — pomyślał zdumiony Mish'wa wak. — Nie, to niemożliwe. Nikt nie śpi, gdy ma decydować o swoim życiu lub śmierci. Szukał samotności. A może przywołuje Ducha Opiekuńczego?"

Ledwie ta myśl przyszła mu do głowy, zaraz opuścił strzelbę. Wycofywał się ostrożnie, aż od jeńca dzieliło go co najmniej jedno strzelenie z łuku. Wtedy dopiero przysiadł za głazem i zaczął cierpliwie czekać. Człowiek poszukujący wizji stawał się nietykalny.

Potem Mish'wa wak widział wielkie stado wędrownych gołębi goniące sowę, jej ucieczkę z przypadkowym łupem i Tehawankę zbierającego pióra pogubione przez ptaki. Nieco zalękniony spoglądał na odlatujące gołębie. Przecież mogły

to być duchy, które pod postacią ptaków przybyły na wezwanie modlącego się jeńca.

Tehawanka przyspieszał kroku wracając do domu. Zbyt długa nieobecność mogła wzbudzić podejrzenia. Mish'wa wak coraz wolniej szedł za nim.

Tehawanka znalazł się w wigwamie, zanim Mem'en gwa przyniosła pożywienie. Była bardzo wesoła.

— Teraz, gdy przystaniesz do nas, nikt nie będzie mógł ci szkodzić — mówiła. — Ah'mik i wielu naszych rozpoczęli obrzędy Midewiwin. Mish'wa wak też już tam poszedł. Opłacił swoje przyjęcie. Nie ma go tu, więc do zakończenia obrzędów możesz nie obawiać się niczego. Potem będziecie sobie równi.

— Miła z ciebie dziewczyna — odarł Tehawanka. — Nie dziwię się, że Mish'wa wak chce wziąć cię za żonę.

— Ale ja go nie chcę!

— Czy Mem'en gwa już powiedziała to swojej matce?

— Powiedziałam — potwierdziła Czipewejka.

— Czy bardzo się gniewała?

— Nie miała czasu. Matka też jest na obrzędach Midewiwin.

— A co będzie później?

— Zobaczymy! — zawołała i śmiejąc się wybiegła z wigwamu.

Tehawanka pozostał sam. Nie tknął jedzenia. Błysk w oczach zdradzał jego podniecenie. Nadeszła decydująca chwila. Wiedział, że musi umknąć z niewoli, zanim zakończą się obrzędy Midewiwin. Potem miałby już tylko do wyboru albo przystąpienie do Czipewejów, albo śmierć. Duch Opiekuńczy wskazał mu, co ma uczynić, więc nie mógł postąpić inaczej.

Postanowił, że ucieknie następnej nocy. Tuż przed samą ucieczką zabierze z wigwamu Ah'mika tarczę ojca i zawiniątko ze świętymi przedmiotami, stamtąd weźmie także jakąś broń.

Kogo jednak mógłby uprowadzić? Na pewno nie obejdzie się bez walki, a przed dotarciem do osady Wahpekute czeka go daleka droga. Może mógłby obezwładnić jednego ze strażników strzegących obozu? Czipewejowie przed udaniem się do tajnego wigwamu na obrzędy Midewiwin na pewno pomyśleli o zabezpieczeniu.

„To dobra myśl — szepnął. Zaskoczę strażnika, zmuszę do pójścia ze mną. Jeśli nie zechce, zabiję i wezmę skalp. Zabiorę jego duszę!!.

Tehawanka położył się, lecz wzburzone myśli długo nie pozwalały mu zasnąć. Już od dawna obmyślał plan ucieczki, teraz jednak, gy wreszcie nadszedł sposobny czas, sytuacja uległa zasadniczej zmianie. Nawet samotna ucieczka z niewoli nastręczała wiele nieprzewidzianych niebezpieczeństw, a cóż dopiero porwanie i uprowadzenie któregoś z Czipewejów. Czy w tych warunkach ucieczka miała szanse powodzenia? A może Duch Opiekuńczy chciał wskazać mu drogę do zaszczytnej śmierci?

Myśl ta sprawiła, że Tehawanka począł się uspokajać, a nawet odczuł pewną dumę. Wszak od chłopięcych lat przysłuchiwał się opowiadaniom uwielbianego Czerwonego Psa oraz innych sławnych wojowników, że odwaga i brawura stanowią najlepszą drogę do osiągnięcia wyróżnień i zaszczytów.

Śmierć w młodym wieku podczas bitwy okrywała sławą.

Oczyma wyobraźni widział siebie przystrojonego w piękne orle pióra. Za pomyślnie dokonaną ucieczkę i porwanie jeńca na pewno otrzymałby prawo do noszenia dwóch, a może nawet i trzech piór! Jeśli zaś zginie, zyska wieczną sławę. Czerwony Pies będzie mówił o nim z dumą...

Uspokojony i rozpogodzony z wolna począł usypiać.

C. D. N.

Deszcz na zamówienie

Samolot poderwał się z ziemi i wnet zawisł w białej, gęstej mgle. Jeden z pasażerów „łowi" na szkiełko posmarowane tajemniczą maścią „kłaczek" obłoku. Szkiełko szybko wędruje pod mikroskop — pod szkłem powiększającym widać rozproszone ziarenka kropelek.

Operacja zostaje powtórzona jeszcze kilkakrotnie po czym włącza się urządzenie, automatycznie spryskujące przestworza granulowanym kwasem węglowym. Po krótkiej chwili — po kadłubie samolotu bębnią krople deszczu.

Specjaliści obliczyli, że aby na ziemię spadł deszcz wystarczy na jeden kilometr obłoku rozsypać niecałe 200 gramów kwasu węglowego.

A jeśli nie ma obłoków? Specjaliści wywołujący deszcze nad jeziorem Sewan w Armenii, któremu grozi spłycenie, przewidzieli i taką sytuację. W budowie znajduje się supermeteotron — urządzenie zdolne ciepłym uderzeniem przebić wiszącą nad jeziorem warstwę atmosfery. Kilka lotniczych silników odrzutowych wytworzy potężny pionowy strumień ciepły i z „martwego" obłoku poleje się deszcz.

ROZMOWA Z WANDĄ WIŁKOMIRSKĄ

Mój dziennik KONCERTOWY

Wanda Wiłkomirska należy do grona wybitnych polskich artystów, którzy koncertują w wielu miastach polskich i całego świata. Świetna skrzypaczka grywa często w radio i występuje w telewizji. „Świat Młodych" zwrócił się z prośbą o rozmowę do p. Wandy Wiłkomirskiej.

— Trudno Panią zastać w Warszawie...

— Tak, dużo podróżuję. Proszę, oto mój dziennik koncertowy.

— Przypomina to dziennik pokładowy kapitana okrętu...

— Ale pogody nie notuję. Tylko daty koncertów, utwory jakie gram, nazwiska dyrygentów i akompaniatorów.

— Także suknie!

— Oczywiście. Nie chciałabym, aby przez pomyłkę słuchacze np. Koszalina oglądali mnie trzy razy w tej samej sukni. Najważniejsza jest muzyka. Lecz i suknia zdobi artystkę.

— Skrzypkowie wolni są od takich kłopotów. Nowy frak, stary frak — oto cały ich wybór!

— Ten dziennik to prawie pamiętnik. Ileż budzi wspomnień!

— Spróbujmy policzyć te koncerty.

— W latach 1963—1972 było ich 966, średnio prawie 100 koncertów rocznie.

— Widzę rok rekordowy 1970 — 118 koncertów!

— Bywałam w domu tylko przejazdem.

— Niektóre trasy dość skomplikowane...

— Na przykład ta: Nowy Jork — Warszawa — Radom — Wiedeń — Kalisz.

— Jakieś pamiętne tournée?

— Chyba po Australii w 1969 roku. Dałam tam 37 koncertów. Niedługo zresztą jadę po raz drugi do Australii.

— Grywa Pani także dla młodych słuchaczy?

— Czasem zaprasza mnie Jadwiga Mackiewicz — ciocia Jadzia — na koncerty, które prowadzi dla dzieci w niedziele, w warszawskiej Filharmonii. Brałam też udział w szkolnych koncertach dla młodzieży organizowanych przez Estradę Kameralną Filharmonii Pomorskiej z Bydgoszczy i Filharmonii Narodowej z Warszawy.

— Jeszcze grała Pani w szkole podstawowej, którą ukończyli Pani synowie. Czy uczą się muzyki?

— Nie. Ale lubią jej słuchać. Włodek jest w tej chwili studentem japonistyki na Uniwersytecie Warszawskim, Artur — uczniem liceum.

— Jakie były Pani pierwsze sukcesy?

— Nagroda na konkursie w Genewie w 1946 roku, w Budapeszcie w 1949 roku, i na Konkursie im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu w 1953 roku.

— Występuje Pani zawsze w roli solistki?

— Nie tylko. Gram chętnie w naszym trio rodzinnym, z siostrą, Marią Wiłkomirską, pianistką, i bratem, Kazimierzem Wiłkomirskim, wiolonczelistą.

— Obydwoje są profesorami Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie. Pani także zajmuje się pedagogiką?

— Mój dziennik koncertowy dowodzi najlepiej, że nie mam na to czasu. Ale interesuje mnie pisanie o muzyce. Może kiedyś będę się tym zajmować.

— Czy może Pani powiedzieć coś o sobie specjalnie dla czytelników „Świata Młodych"?

— Podczas okupacji należałam do „Szarych Szeregów". Było to zupełnie inne harcerstwo niż dzisiaj — harcerstwo czasu wojny. Jak dorośli, jak żołnierze, walczyliśmy z wrogiem. Pamiętam jedno z zadań harcerskich. Trzeba było wyszukać w swojej dzielnicy (mieszkałam wtedy w Warszawie na Ochocie) dom z bramą przejściową i narysować jego dokładny plan, rozkład mieszkań na piętrach, układ strychu, wszystkie drzwi. Te rysunki były wkładem najmłodszych harcerzy do przygotowywanego powstania warszawskiego. Plan bram przejściowych służył później łącznikom i żołnierzom. Po wojnie przez krótki czas działałam w harcerstwie w Łodzi. Potem ogarnęła mnie już muzyka.

— Z pewnością trudno było godzić naukę w gimnazjum z nauką muzyki.

— Tak. Sama dziś się dziwię, że jednak w gimnazjum byłam bardzo dobrą uczennicą. Jedyną czwórkę miałam z chemii. Włodek i Artur patrząc na moje świadectwo szkolne mówią, że jest nad wyraz niesympatyczne... Z tamtych dni przesyłam czytelnikom „Świata Młodych" harcerskie i uczniowskie pozdrowienie. A dziś, dla wszystkich młodych miłośników muzyki — pozdrowienie z głębi „duszy" moich skrzypiec!

— Ach prawda, bo skrzypce mają „duszę"... Jest to kołeczek ustawiony wewnątrz pudła rezonansowego.

— Tak, ale kołeczek to nieszlachetnie brzmi. A jest on prawdziwą duszą skrzypiec, wrażliwą i nawet lekko tajemniczą.

— Może owa dusza sprawia, że z pocierania włosia z końskiego ogona o baranie kiszki powstają tak piękne dźwięki. Skrzypce nazywane są przecież najpiękniej śpiewającym instrumentem.

— Może „dusza"... Lecz mówiąc serio, aby instrument śpiewał, artysta musi włożyć całą swoją duszę, swój talent i pracę, swoje myśli i uczucia.

— Dziękujemy bardzo za rozmowę i pozdrowienia.

Rozmawiała:
M. KOMOROWSKA

Foto: Wanda Parys

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

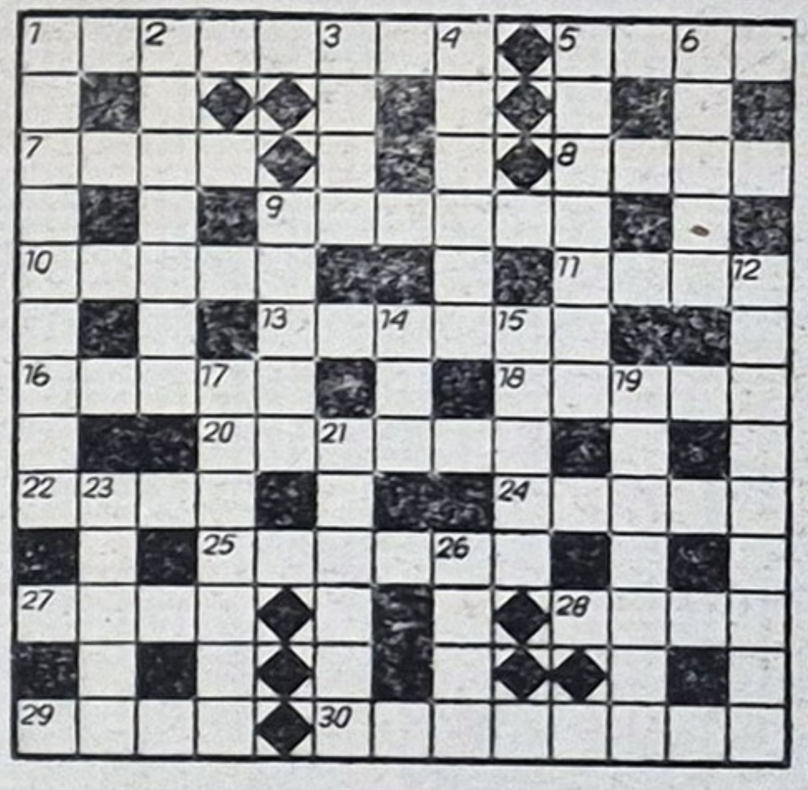

KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 1) główna lampa w telewizorze, 5) chroni głowę żołnierza, 7) łączy przeciwległe brzegi rzeki, 8) opar wodny na roślinach, 9) lewy dopływ dolnego Bugu, 10) zatoka Bałtyku, 11) stałe miejsce pracy, 13) instalator, 16) między kondygnacjami budynku, 18) w przysłowiu z noszeniem wody, 20) miasto nad Małą Panwią, 22) na owcy, 24) komplet kart do gry, 25) gąsienica, 27) wielka pustyna azjatycka, 28) graniczy z Algierią, 29) wieść, pogłoska, 30) orszak podróżujących przez pustynię.

PIONOWO: 1) sprężarka, 2) walizeczka używana w podróży, 3) postać z „W pustyni i w puszczy", 4) część województwa, 5) nasz czytelnik, 6) nie jedna na rybie, 9) do oświetlenia, 12) jedno z największych jezior Afryki, 14) kierownik pierwszego legendarnego zoo, 15) imię popularnej spikerki naszej TV, 17) teren stanowiący otoczenie czegoś, 19) rodzaj utworu ulubionego przez Marylę Rodowicz i Chyłę, 21) nie jeden na krzewince, 23) piękność, krasa, 26) największe miasto Afryki.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „Krzyżówka".

Do rozlosowania:
bony książkowe

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR. 51/2257

ELIMINATKA OBRAZKOWA.
Dobra pszczoła nie tknie zwiędłego kwiatu. (ptak, kura, sowa, pies, ryba, dzik).

Za dobre rozwiązanie bony książkowe wylosowali: 1) Grażyna Archacka — Sobienie Jeziory, 2) Alicja Bodner — Ostrówek, 3) Elżbieta Fusik — Płock; 4) Elżbieta Godzina — Dwikozy, 5) Ewa Bzducha — Radom, 6) Elżbieta Makowska — Nowy Dwór Mazowiecki, 7) Joanna Redo — Warszawa, 8) Janusz Szeremeta — Łódź, 9) Władysław Szymczak — Kalisz, 10) Anna Żakowska — Zdziar Wielki.

FESTIWAL „POGORZELICA 1973"

NA KOLONIACH LETNICH w Pogorzelicy, gdzie przebywało 404 dzieci pracowników Zarządu Lasów Państwowych z pięciu województw, na naukę nikt nie narzekał. I wycieczki, i ogniska, i plażowanie... Największą atrakcją okazał się jednak Festiwal Piosenki Pogorzelica 73. Przygotowany był fachowo, bo jeden z wychowawców, pan Jacek Bukowski należy do Centralnego Zespołu Artystycznego WP, więc na rzeczy znał się jak mało kto.

Stawka wykonawców była liczna, zwycięstwo nie należało do łatwych. Palmę pierwszeństwa zdobyła Lucyna Fusińska za wykonanie „Ballady przydrożnych drzew". Na zdjęciu stoi pierwsza z lewej wraz z pozostałymi laureatkami.

Foto: M. KOŁOGRECKI

TYTUS, ROMEK i A'TOMEK

TEKST I RYS. H. CHMIELEWSKI

ZDEJMĘ CI KAGANIEC. OPOWIADAJ, JAK SIĘ DOSTAŁEŚ W RĘCE »CZARNYCH SZCZĘK«?

SSAK SSAKOWI BRATEM. A JA CI OTWORZĘ JĘZYKIEM KŁÓDKĘ. I UCIEKAJMY.

GRZECZNONÓŻKI WYWIOZŁY MNIE NA BEZMRÓWKOWĄ WYSPĘ. WIESZ CO TO ZNACZY DLA MRÓWKOJADA?

BRAK MRÓWEK ZMUSIŁ MNIE DO PRZERZUCENIA SIĘ Z MYŚLISTWA NA ROLNICTWO...

PRZEORAŁEM NOSEM PÓŁKO, GDY WTEM NADLECIAŁY »CZARNE SZCZĘKI«, KTÓRE TU MIAŁY MRÓWKOLIGON WOJSKOWY.

WZIĘŁY MNIE DO NIEWOLI, ZAŁOŻYŁY KAGANIEC I ZOSTAŁEM ZABAWKĄ DLA ICH 12 TYSIĘCY MRÓWCZĄT.

DZIĘKI TEMU, ŻE MUSIAŁEM UDAWAĆ KONIA, POZNAŁEM CAŁY LABIRYNT MRÓWISKA, A ŻOŁNIERZE WSZĘDZIE MNIE PRZEPUSZCZALI.

WTEM!

STÓJ! KTO IDZIE?

TO JA, MRÓWKOJAD - ZABAWKA.

A GDZIE MASZ KAGANIEC? STÓJ, TO PODEJRZANE!

WTEM!

ZAPS!

TRZYMAJ GO, A JA MU UTNĘ CZUŁKI, NIE BĘDZIE MÓGŁ ZAALARMOWAĆ STRAŻY.

UCIEKAJMY!

ZACZEKAJ! ZABIORĘ JEGO HEŁM I ROZPYŁACZ KWASU MRÓWKOWEGO.

WYGLĄDAM TERAZ JAK »CZARNA SZCZĘKA«.

UWAŻAJ, NOWY WARTOWNIK!

STÓJ! KTO IDZIE? HASŁO?

»ODWŁOK«! TO JA. IDĘ CIĘ ZMIENIĆ.

JESZCZE JEDNA »CZARNA SZCZĘKA« UNIESZKODLIWIONA! I ZNAMY ICH HASŁO!

PSIII!

cdn. 13

„SWIAT MŁODYCH" – GAZETA HARCERSKA – ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. Nacz. Jerzy MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji – 28 25-48 Sekretariat administracji – 21-15-61 Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa, Książka, Ruch", 00-679 Warszawa, ul. Wilcza 46. Dyrektor Wydawnictwa, tel. 28-09-73. Dział Wydawniczy tel. 29 35-52. Biuro Ogłoszeń 00-033 Warszawa, ul. Górskiego 1, tel. 26 75-39. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa, Książka, Ruch", 00-624 Warszawa ul. Marszałkowska 3-5. Prenumerata miesięczna zł. 4.30, kwartalna zł 13.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr 1-1-100020 – Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa – Książka – Ruch" 00-839 Warszawa ul. Towarowa 28 do dnia 30 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Prasa – Książka – Ruch" 00-840 Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO I 6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Prasa – Książka – Ruch" 00-839 Warszawa, ul. Towarowa 28. Adres redakcji: 00-561 Warszawa, ul. Mokotowska 24. Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Numer indeksu – 35039.

Zam. 3637 K-90